

JACK LONDON

„GRA” ZAGRAŁA Z NIM PODLE,
ALE TERAZ GENEVIEVE CZUŁA PEWNOŚĆ,
ŻE ON JEST JUŻ TYLKO JEJ.

THE
GAME

GRA, W KTÓREJ STAWKĄ JEST ŻYCIE.

KULTOWE OPOWIADANIA BOKSERSKIE
HOID.PL

Jack London

Gra

Pierwsze polskie wydanie:

Wydawnictwo Horyzont Idei, Damian Tarkowski, Polskie Wydawnictwa Niezależne,
Toruń 2023 r.

www.hoid.pl www.sklep.hoid.pl

Facebook.com/HORYZONTIDEI

E-mail: kontakt@hoid.pl

ISBN: 978-83-65185-65-5

© Damian Tarkowski, Wydawnictwo Horyzont Idei, Polskie Wydawnictwa Niezależne,
Toruń 2023 r.

ROZDZIAŁ V.

Wybrzmiał gong. Wydawało się, że walczyli już pół godziny, choć z tego, co powiedział jej Joe, wiedziała, że to były tylko trzy minuty. Z hukiem gongu sekundanci Joego wskoczyli przez liny i przygotowali mu w narożniku miejsce na błogosławioną minutę odpoczynku. Jeden z mężczyzn kucnął na podłodze między jego wyciągniętymi stopami, podniósł je i opierając na swoich kolanach zaczął je energicznie masować. Joe siedział na stołku w rogu, mocno przechylony do tyłu, z głową odchyloną i rękami wyciągniętymi na linach, aby łatwiej rozszerzyć klatkę piersiową. Z szeroko otwartymi ustami oddychał powietrzem wiejącym z ręczników, którymi wachlowało go dwóch sekundantów, słuchając jednocześnie rad jeszcze innego, który mówił mu do ucha niskim głosem i jednocześnie gąbką przecierał mu twarz, ramiona i klatkę piersiową.

Ledwie to wszystko zrobiono (zdawało jej się, że trwało to nie więcej niż kilka sekund), gdy rozległ się gong. Sekundanci przemknęli przez liny ze swoimi przyborami, a Joe i Ponta ruszyli na siebie na sam środek ringu. Genevieve nie miała pojęcia, że minuta może trwać tak krótko. Przez chwilę czuła, że ten odpoczynek został przerwany, i podejrzewała nie wiadomo co.

Ponta rzucił się na niego z prawej i z lewej strony, dziko, jak zawsze, i chociaż Joe blokował ciosy, ich siła była tak duża, że odrzuciło go o kilka kroków do tyłu. Ponta pognał za nim jak tygrys. W mimowolnym wysiłku, by utrzymać równowagę, Joe odsłonił się, wyrzucając jedno ramię i podnosząc głowę spod chroniących go barków. Ponta zaatakował tak szybko, że straszliwy cios sięgnął jego szczęki. Pochylił się do przodu, ale wykonał unik, a pięść Ponty ominęła tył jego głowy. Gdy wrócił

do pionu, lewa pięść Ponty zaatakowała go prostym ciosem, który mógłby sprawić, że runąłby na liny. Ponownie, z szybkością o ułamek czasu szybszą niż Ponta, uchylił się do przodu. Pięść Ponty musnęła tylną część barku i poszybowała w powietrze. Prawą ręką Ponta wykonał prosty cios i powtórzył go, lecz Joe schował się w bezpiecznym klinczu.

Genevieve westchnęła z ulgą, jej napięte ciało rozluźniło się i ogarnęło ją rozprężenie. Tłum wiwatował szaleńczo. Silverstein stał na nogach, krzyczał, gestykulował, zupełnie zaabsorbowany. Nawet pan Clausen wykrzykiwał coś entuzjastycznie z całego tchu do ucha najbliższego sąsiada.

Klincz został przerwany i walka toczyła się dalej. Joe blokował, cofał się i balansował ciałem po ringu, unikając ciosów i jakoś przeżywając tę kumulację ataków. Rzadko kiedy sam wyprowadzał ciosy, gdyż Ponta był bystry i potrafił zarówno bronić się, jak i atakować, podczas gdy Joe nie miał szans wobec ogromnej witalności swego przeciwnika. Jego cała nadzieja polegała na tym, że Ponta w końcu się zmęczy.

Ale Genevieve zaczynała się zastanawiać, dlaczego jej kochanek nie walczy. Ogarnął ją gniew. Chciała zobaczyć, jak mści się na tej bestii, która tak go prześladowała w ringu. Akurat wtedy, gdy zaczęła się niecierpliwić, nadarzyła się okazja i Joe uderzył pięścią w usta Ponty. Był to oszałamiający cios. Widziała, jak głowa Ponty cofa się z szarpnięciem, a na jego wargach szybko pojawia się krew. Ten cios i wielki krzyk publiczności rozwścieczyły go. Rzucił się do przodu jak dziki. Wściekłość jego poprzednich napaści była niczym w porównaniu z furią tej jednej. I nie było już dla Joego więcej okazji do wyprowadzenia kolejnego ciosu. Był teraz zbyt zajęty przetrwaniem burzy, którą wywołał, blokowaniem, zasłanianiem się i chowaniem w bezpieczne i dające wytchnienie klincze.

Ale klincz wcale nie gwarantował bezpieczeństwa i wytchnienia. Każda jego chwila wymagała intensywnej czujności, podczas gdy wydostanie się z niego było jeszcze bardziej niebez-

pieczne. Genevieve zauważyła, z lekkim rozbawieniem, ciekawy sposób, w jaki Joe przytulał swoje ciało do ciała Ponty w czasie klinczu; ale nie zdawała sobie sprawy, dlaczego to robi, aż do momentu gdy w jednym z takich klinczów, zanim to przytulenie mogło być wykonane, pięść Ponty wystrzeliła prosto w powietrze i tylko o włos ominęła podbródek Joego. W kolejnym i późniejszym klinczu, kiedy już się nieco rozluźniła i westchnęła z ulgą widząc go bezpiecznie wtulonego w Pontę, którego podbródek utknął nad ramieniem Joego, jego przeciwnik uwolnił prawą rękę i zadał straszliwy cios w dół na niewielką część pleców. Tłum jęknął z przerażenia, a Joe szybko zablokował ramiona przeciwnika, aby zapobiec powtórzeniu ciosu.

Wybił gong i po krótkiej chwili odpoczynku znów ruszyli do walki – w narożniku Joego, bo Ponta doskoczył do niego całej siły. W miejscu, gdzie padł cios zadany nad nerkami, biała skóra stała się jaskrawoczerwona. Ta plama koloru, wielkości rękawicy, zafascynowała i przestraszyła Genevieve tak, że ledwo mogła oderwać od niej wzrok. Niezwłocznie, w następnym klinczu, cios został powtórzony, ale potem Joemu zwykle udawało się odepchnąć wierzchem rękawicy twarz Ponty i w ten sposób przytrzymać jego głowę odchyloną do tyłu. To uniemożliwiało zadanie ciosu, ale jeszcze trzy razy, zanim runda dobiegła końca, Ponta dokonał tej sztuczki, za każdym razem uderzając w tę samą wrażliwą część ciała.

Kolejny odpoczynek i kolejna runda minęły bez dalszych obrażeń Joego i bez widocznego spadku sił u Ponty. Ale na początku piątej rundy, Joe, złapany w narożniku, zrobił jakby unik do klinczu. Tuż przed jego wykonaniem i dokładnie w momencie, gdy Ponta był gotowy własnym ciałem na przyjęcie wtulonego w niego ciała Joego, ten cofnął się zwinnie i uderzył pięściami w niechroniony brzuch przeciwnika. Były to piorunujące ciosy, cztery, z prawej i lewej strony, ciężkie, bo Ponta zaskomlał od nich i zataczał się do tyłu, na wpół opuszczając ręce, a jego ramiona opadały do przodu i do środka, jakby miał się zachwiać i upaść. Bystry wzrok Joego dostrzegł tę szansę i naraz

uderzył prosto w usta Ponty, natychmiast wykonując z pół zamachu, pół haka, w szczękę. Jednak chybił, uderzając w policzek i odrzucając Pontę na bok.

Cała sala stała, krzycząc. Genevieve słyszała mężczyzn wołających: – Już go ma! Już go ma! – i wydawało się jej, że to początek końca. Euforia zapanowała także nad nią – czułość i subtelność zniknęły, cieszyła się z każdego miażdżącego ciosu, który zadawał jej ukochany.

Ale z witalnością Ponty trzeba było się jeszcze liczyć. Znow jak tygrys ruszył za Joem, zaś Joe podążył za nim. Wykonał kolejny pół zamach, pół hak, na szczękę Ponty, a Ponta, który już odzyskał rozum i siły, uchylił się. Pięść Joego przeleciała przez puste powietrze, a impet ciosu był tak wielki, że poniósł go w bok, w półobrocie. Wtedy Ponta wymierzył lewy sierpowy. Jego rękawica wylądowała na niechronionej szyi Joego. Genevieve zobaczyła, jak ręce jej kochanka opadają na boki, a jego ciało unosi się, cofa i opada bezwładnie na podłogę. Sędzia, pochylając się nad nim, zaczął odliczać sekundy, podkreślając upływ każdej z nich machnięciem prawej ręki w dół.

Publiczność zastygła jak śmierć. Ponta częściowo odwrócił się w stronę widowni, by otrzymać należną mu aprobatę, lecz spotkała go ta chłodna, cmentarna cisza. Szybko wzbierał w nim gniew. To było niesprawiedliwe. Oklaskiwany był wyłącznie jego przeciwnik – jeśli zadał cios i jeśli uniknął ciosu, zaś on, Ponta, który od początku zdominował walkę, nie otrzymał ani jednego okrzyku wiwatu.

Jego oczy błyszczały, gdy zebrał się w sobie i podszedł do leżącego na ziemi przeciwnika. Przykucnął obok niego, z prawą ręką wyciągniętą do tyłu i gotową do zadania miażdżącego ciosu, gdy tylko Joe zacznie się podnosić. Sędzia, wciąż pochylony i liczący prawą ręką, lewą odepchnął Pontę. Ten, nachyliwszy się, krążył wokół, a sędzia licząc, krążył wraz z nim odpychając go i trzymając się między nim a leżącym.

– Cztery – pięć – sześć – liczenie trwało dalej, a Joe, przewracając się na twarz, słabo się wiercił, by podciągnąć się na kolana i uklęknąć. To udało mu się zrobić, opierając się na jednym kolanie i przyłożywszy ręce do podłogi po obu stronach, z drugą nogą ugiętą pod nim, aby pomóc mu się podnieść.

– Liczymy, liczymy! – rozległo się kilkanaście głosów z widowni.

– Na miłość boską, czas leci! – zawołał ostrzegawczo jeden z sekundantów Joe'go z krawędzi ringu. Genevieve rzuciła na niego szybkie spojrzenie i zobaczyła twarz młodego człowieka, ściągniętą i białą, jego usta nieświadomie poruszały się, gdy liczył razem z sędzią.

– Siedem – osiem – dziewięć – tak upływały sekundy.

Wybrzmiała dziewiąta, ale wtedy sędzia ostatni raz odepchnął Pontę i Joe podniósł się na nogi, skulony, zasłonięty, słaby, ale wyglądał w porządku, zupełnie w porządku. Ponta rzucił się na niego z ogromną siłą, wyprowadzając cios hakiem i prosty. Joe zablokował dwa z nich, uniknął trzeciego, uchylił się przed czwartym, a następnie został zepchnięty do narożnika przez huragan ciosów. Było widać, że bardzo osłabł. Chwiejnie trzymał się na nogach, zataczał się w przód i w tył. Jego plecy opierały się o liny. Nie mógł już dalej się cofnąć. Ponta zatrzymał się, jakby chciał się podwójnie upewnić, potem zrobił zwód lewą i uderzył z całej siły prawą ręką. Ale Joe uchylił się, złapał go w klinczu i na chwilę się uratował.

Ponta walczył gorączkowo, aby się uwolnić. Chciał wykończyć przeciwnika, który już i tak był mocno zraniony. Ale Joe trzymał się kurczowo, opierając się każdemu wysiłkowi rywala, tak długo, jak udawało mu się utrzymać swój chwyt, potem zaraz łapiąc przeciwnika na nowo, aby jeszcze trochę przetrzymać. –

Rozejście! – wykrzyknął sędzia, ale Joe kurczowo trzymał się przeciwnika. – Odepchnij go! Dlaczego, do cholery, tego nie zrobisz? – Ponta sapał na sędziego. Ponownie ten ostatni nakazał przerwę. Joe odmówił, pozostając, jak dobrze wiedział, w granicach swoich praw. Z każdą chwilą klinczu wracały mu siły,

mózg się oczyszczał, pajęczyny znikały sprzed oczu. To był sam początek rundy, a on musi jakoś przetrwać, niemal trzy pozostałe minuty.

Sędzia chwycił każdego z nich za ramię i rozdzielił ich gwałtownie, przechodząc szybko między nimi i odrzucając ich do tyłu, aby zrobić czystą przerwę. Ponta rzucił się na Joego jak dzikie zwierzę, które atakuje swoją ofiarę. Ale Joe zasłonił się, zablokował i wpadł w klincz. Ponownie Ponta próbował się uwolnić, Joe trzymał się go mocno, a sędzia rozdzielił ich. I zaraz znów Joe uniknął obrażeń i znalazł się w klinczu.

Genevieve zdała sobie sprawę, że w klinczu nie był bity – dlaczego więc sędzia nie pozwolił mu pozostawać w klinczu? To było okrutne. W tych chwilach nienawidziła genialnego Eddy'ego Jonesa i częściowo podniosła się z krzesła, z dłońmi zaciśniętymi ze złości, paznokcie jej wrzynały się w dłonie aż do bólu. Reszta rundy, trzy długie minuty, była ciągiem klinczów i przerw. Ponta ani razu nie zdołał zadać przeciwnikowi ostatecznego ciosu. A Ponta był jak szalony, wściekły z powodu swojej bezsilności wobec bezradnego i niemal już pokonanego przeciwnika. Jeden cios, tylko jeden cios, a on nie mógł go zadać! Doświadczenie ringowe i chłód Joego uratowały go. Z zachwianą świadomością i drżącym ciałem, trzymał się kurczowo i ostał się, podczas gdy stopniowo wracało w nim życie i zalewało go nowymi siłami. Raz, w swojej pasji, nie mogąc go trafić, Ponta zrobił coś, jakby chciał go podnieść i rzucić na podłogę.

– Dlaczego go nie ugryziesz? – wykrzyknął drwiąco Silverstein.

Wtedy cała sala wyrwała się z bezruchu, a widownia, uwolniona od niepokoju o swojego ulubieńca, roześmiała się z wrzawą, która miała w sobie nutę hysterii. Nawet Genevieve poczuła, że w tej uwadze było coś nieodparcie zabawnego, a ulga publiczności udzieliła się jej, a mimo to czuła się chora i zemdlna, i była przepełniona przerażeniem tym, co dotąd zobaczył i co widziała teraz.

– Ugryź go, ugryź go! – krzyczały głosy z widowni, która na dobre wróciła do życia. – Odgryź mu ucho, Ponta! Tylko w ten sposób możesz go pokonać! Zjedz mnie, zjedz mnie! Och, dlaczego mnie nie zjesz?

To źle podziałało na Pontę. Pod wpływem reakcji sali się bardziej szalony niż kiedykolwiek, i jeszcze bardziej bezsilny. Dyshał i jęczał, marnując swoje siły przez zbyt duży wysiłek, tracąc rozsądek i kontrolę i daremnie próbując zrekompensować tę stratę nadmiarem wysiłku fizycznego. Znał tylko ślepe pragnienie zniszczenia, potrząsał Joem w klinczu jak terier szczura, napręzał się i walczył o uwolnienie ciała i ramion, ale Joe cały czas spokojnie trzymał się go i trzymał. Sędzia pracował mężnie i sprawiedliwie, aby ich rozdzielić. Pot spływał mu po twarzy. Trzeba było całej jego siły, aby rozdzielić te przylegające do siebie ciała, i nie prędzej je rozdzielił, niż Joe wpadał bez szwanku w kolejny uścisk i praca musiała być wykonana od nowa. Na próżno Ponta, gdy się uwolnił, próbował uniknąć chwytających go ramion i oplatającego go ciała. Nie mógł się odsunąć. Musiał się zbliżyć, żeby uderzyć, a Joe za każdym razem go przechytrzał i łapał w ramiona.

A Genevieve, przykucnięta w małej garderobie i podglądająca to wszystko przez niewielki wizjer, też była zdezorientowana. Była stroną zainteresowaną w tym, co wydawało się walką na śmierć i życie – czyż jednym z walczących nie był jej Joe? „Gra” nie była dla niej zrozumiała. Jej powab był poza nią. Dla niej stanowiła ona większą tajemnicę niż kiedykolwiek. Nie mogła pojąć jej mocy. Co rozkosznego może być dla Jogo w tym brutalnym kłębieniu się i naprężeniu ciała, tych zaciętych uściskach, coraz ostrzejszych ciosach i strasznych bólach? Z pewnością ona, Genevieve, miała do zaoferowania więcej niż to wszystko – mogąc dać mu wytchnienie, zadowolenie i słodką, spokojną radość. Jej oferta w walce o jego serce i duszę była delikatniejsza i bardziej hojna niż oferta Gry, a jednak on zwlekał i trzymając obie w ramionach, odwracał głowę od jednej,

by nasłuchiwać syreniego zewu drugiej, którego nie mogła zrozumieć.

Wybiło uderzenie gongu. Runda zakończyła się w narożniku Ponty. Młody sekundant o białej twarzy przeszedł przez liny z pierwszym ułamkiem dźwięku. Chwycił Joego w swoje ramiona, podtrzymał go i ruszył z nim przez ring do jego narożnika. Jego sekundanci pracowali nad nim wściekle, masując jego nogi, klepiąc brzuch, rozkładając nogi i stopy szeroko, tak, by jak najłatwiej było mu oddychać. Po raz pierwszy Genevieve zobaczyła, jak mężczyzna oddycha brzuchem, przeponą, która unosiła się i opadała z każdym oddechem o wiele bardziej, niż jej piersi unosiły się i opadały po tym, jak zmęczyła się biegnąc za wozem. Ostry zapach amoniaku gryzł ją w nozdrza, docierał do niej z nasączonej gąbki, z której wdychał ogniste opary oczyszczające jego mózg. Przepłukał usta i gardło, ssał pokrojoną cytrynę, a ręczniki wachlowały go jak szalone, wtłaczając tlen do jego płuc, aby oczyścić krew i posłać ją z powrotem ożywioną do walki, która miała dopiero nadejść. Jego rozgrzane ciało zostało nasączone gąbką i oblane wodą, a butelki z wodą opróżniano przy jego głowie dołem do góry.

W walce zachodziła zmiana. Publiczność szybko to zauważyła, a nawet Genevieve dostrzegła to na początku dziewiątej rundy. Joe przeszedł do ofensywy. W klinczach to on sprowadzał pięść na niewielką część powierzchni pleców, zadając straszliwy cios w nerkę. Robił to raz za razem, w każdym klinczu, ale z całej siły. Potem, odsuwając się, zaczął uderzać Pontę w brzuch, albo zahaczać jego szczękę lub uderzać prosto w usta. Ale na pierwsze znaki nadejścia nawałnicy ciosów, Joe zwinnie odskakiwał i zasłaniał się.

Minęły dwie kolejne rundy, potem trzy, ale siła Ponty, choć odczuwalnie mniejsza, wcale nie malała tak szybko. Celem Joego było osłabienie tej siły; nie jednym ciosem, ani dziesięcioma, ale atakami wyprowadzanymi raz za razem, bez końca, aż ta ogromna siła zostanie wybita z jego ciała. Teraz jego przeciwnik nie miał chwili wytchnienia. Joe szedł za nim krok w krok, jego lewa stopa robiła słyszalne stuk, stuk, stuk na twardym płótnie ringu. Potem następował nagły skok, jak u tygrysa, cios lub seria ciosów, i szybki odskok w tył, po czym lewa stopa znów zaczynała stukać. Kiedy Ponta wykonywał swoje dzikie ruchy, Joe skrętnie się chował, tylko po to, aby zaraz się wyłonić, jego lewa stopa stukała, stukała i stukała, a on szedł za przeciwnikiem krok w krok.

Powoli słabł. Dla tłumu koniec był już przesądzony.

– Dalej, Joe! – skandowano z podziwem i sympatią.

– To wstyd brać pieniądze za coś takiego! – szydzili z przeciwnika Joego. – Dlaczego go nie pożresz, Ponta? Rusz się i zjedz go!

W jednodominutowych przerwach sekundanci Ponty pracowali nad intensywniej niż kiedykolwiek wcześniej. Zdradzało to ich niepewność co do jego kondycji. Genevieve obserwowała ich pełne emocji wysiłki, podczas gdy sama słuchała jak sekundant z białą twarzą ostrzega Joe.

– Nie spiesz się – mówił. – Masz go, ale nie możesz się spieszyć. Widziałem, jak walczy. On potrafi uderzyć aż do samego końca.

Widziałem raz jak był już praktycznie wyczerpany i dalej walił z tą samą siłą. Mickey Sullivan miał go na muszce. Położył go sześć razy, a potem zostawił otwartą przestrzeń. Ponta sięgnął jego szczękę, a dwie minuty później Mickey otwiera oczy i pyta, co się dzieje. Więc musisz na niego uważać. Nie możesz przyjąć żadnego z tych losowych ciosów. Postawiłem na tę walkę, ale nie uznaję jej za wygraną, dopóki on nie zostanie wyliczony.

Pontę oblewano wodą. Gdy zabrzmiał gong, jeden z jego sekundantów nadal lał na niego wodę z butelki. Ponta ruszył w kierunku środka ringu, a sekundant podążał za nim przez kilka kroków, wciąż trzymając nad nim odwróconą butelkę. Sędzia krzyknął na niego, a on uciekł z ringu, upuszczając butelkę. Toczyła się w kółko, rozlała się, aż sędzia, szybkim ruchem palca, wyrzucił butelkę przez liny.

We wszystkich poprzednich rundach Genevieve nie widziała w twarzy Joego, którą po raz pierwszy zobaczyła tamtego ranka w domu towarowym, tego walecznego zacięcia. Czasami jego twarz była całkiem chłopięca, innym razem, gdy przyjmował najcięższe ciosy, była ponura i szara, a jeszcze później, gdy starał się przetrwać i klinczował, przybierała wyraz pełen tęsknoty. Ale teraz, gdy nie był już w niebezpieczeństwie i gdy sam narzucał warunki przeciwnikowi, ukazało się jej jego waleczne oblicze. Zadrżała. To oddaliło go od niej tak bardzo. Myślała, że go zna, że zna go całego, że trzyma go w zagłębieniu swej dłoni, ale takiego go nie znała – tej twarzy ze stali, tych ust ze stali, tych oczu ze stali, błyskających światłem i metalicznym blaskiem. Wydawało się jej, że jest to beznamiętna twarz anioła mściciela, naznaczona jedynie zamiarem Pana.

Ponta spróbował jednego ze swoich dawnych zrywów, ale został zatrzymany ciosem w twarz. Nieprzejednany, nieustępliwy, zawsze groźny, niedający mu spokoju Joe, ruszył za nim. Runda, trzynasta, zakończyła się zrywem Joego w narożniku Ponty. Próbował się jeszcze poderwać, ale został rzucony na ko-

lana. Liczono go dziewięć sekund, a potem próbował się bronić, ale otrzymał cztery straszne ciosy w brzuch, tak że przy gongu wracając do narożnika, dysząc, padł w ramiona sekundanta.

Joe pobiegł przez ring do własnego narożnika.

– Teraz ja ruszę na niego - powiedział do swojego sekundanta.

– Teraz z pewnością dasz radę go pokonać – odpowiedział sekundant. – Nic cię już nie powstrzyma, tylko szczęśliwy cios. Uważaj na niego.

Joe pochylił się do przodu, stopy zebrał pod sobą dla lepszego odbicia. Był jak sprinter czekający na start. Czekał na gong. Gdy tylko zabrzmiał, wystrzelił do przodu i przeszedł przez ring, łapiąc Pontę w jego narożniku, gdy ten podnosił się ze stołka. I w tym samym momencie przeciwnik padł, powalony ciosem prawej ręki. Gdy tylko podniósł się z bałaganu rozrzuconych wiader, stołków i zaaferowanych sekundantów, Joe ponownie go powalił. I upadł po raz trzeci, zanim zdążył wydostać się z własnego narożnika.

To była woda na młyn dla Joego. Genevieve pamiętała jego słowa: „Tylko patrz, będziesz wiedziała, kiedy na niego ruszę”. Sala też o tym wiedziała. Wszyscy stali i zapanowała wielka wrzawa. Był to krzyk rzędzy krwi ludzkich mas i brzmiał dla niej jak to, co wyobrażała sobie, że musi być wyciem wilków. Przy całej wierze w zwycięstwo ukochanego, znalazła w swoim sercu miejsce na litość dla Ponty.

Bezskutecznie próbował się bronić, blokować, zasłaniać, uchylać się, by choć na chwilę poczuć się bezpiecznie. Odmówiono mu prawa do chwili wytchnienia. Cios za ciosem otrzymywał swoją odpłatę. Padał na deski do tyłu i na boki, był uderzany w kłinczu i w ucieczkach z kłinczu – sztywne, mocne ciosy, oszołomiły jego mózg i odebrały siłę jego mięśniom. Był wbijany w narożniki i znowu wyrzucany na liny, odbijał się, i z kolejnym ciosem znowu wpadał na liny. Wachlował powietrze rękami, zadając brutalne ciosy pustce. Nie było w nim już nic ludz-

kiego. Był wcieloną bestią, ryczącą, szalejącą i niszczoną. Został powalony na kolana, ale odmówił przyjęcia liczenia, zataczając się na nogach tylko po to, by zaraz zostać uderzonym sztywną ręką w usta i wysłanym z powrotem na liny.

W bolesnym cierpieniu, dysząc, zwijając się, z zaszklonymi oczami i szlochającym oddechem, groteskowy i heroiczny, walczący do ostatka, starający się dopaść swego przeciwnika, rzucał się po ringu. I w tym momencie stopa Joego pośliznęła się na mokrym płótnie. Zamglone oczy Ponty zobaczyły to i rozpoznały swoją szansę. Zebrał wszystkie siły jego uciekającego ciała do błyskawicznego, szczęśliwego ciosu. Choć Joe zdołał odskoczyć drugi trafił go prosto w podbródek. Przewrócił się do tyłu. Genevieve widziała, jak jego mięśnie rozluźniają się, gdy był jeszcze w powietrzu, i słyszała uderzenie jego głowy o deski.

Wrzawa wrzeszczącej widowni nagle ucichła. Sędzia, pochylając się nad bezwładnym ciałem, liczył sekundy. Ponta zachwiał się i upadł na kolana. Podniósł się z trudem na nogi, kołysząc się w przód i w tył, próbując zmieść publiczność swoją nienawiścią. Jego nogi drżały i uginały się pod nim, dławił się i dyszał, walcząc o oddech. Przewrócił się do tyłu, a przed upadkiem uchronił go na oślep chwyt za liny. Trzymał się ich, opadając, zginając i napierając całym ciałem, z głową na piersi, aż sędzia odliczył fatalną dziesiątą sekundę i wskazał na niego na znak, że wygrał.

Nie otrzymał oklasków. Wił się przez liny jak wąż, wpadając w ramiona swoich sekundantów, którzy pomogli mu wstać i wyjść przez tłum do korytarza. Joe pozostał tam, gdzie upadł. Jego sekundanci zanieśli go do narożnika i usadowili na stołku. Ludzie zaczęli wchodzić na ring, ciekawi widoku, ale zostali brutalnie wypchnięci przez policjantów, którzy już tam byli.

Genevieve przyglądała się temu z okienka. Nie była szczególnie zaniepokojona. Owszem, jej ukochany został znokautowany. Na tyle, na ile mógł czuć rozczarowanie, dzieliła je z nim, ale

to było wszystko. W pewnym sensie czuła się nawet zadowolona. „Gra” zagrała z nim podle, a teraz czuła pewność, że teraz jest już tylko jej. Słyszała o nokautach. Często bokserzy potrzebowali trochę czasu, aby dojść do siebie po ich skutkach. Dopiero gdy usłyszała, że sekundanci proszą o lekarza, poczuła się naprawdę zaniepokojona.

Przenieśli jego zwiotczone ciało przez liny na podest, a ono zniknęło poza granicami jej wizjera. Wtedy drzwi do jej garderoby otworzyły się i weszło kilku mężczyzn. Nieśli Joego. Położono go na zakurzonej podłodze, jego głowa spoczywała na kolanie jednego z sekundantów. Nikt nie wydawał się zaskoczony jej obecnością. Podeszła i uklękła obok niego. Oczy miał zamknięte, usta lekko rozchylone. Jego mokre włosy przylegały do twarzy w prostych kosmykach. Podniosła jedną z jego rąk. Była bardzo ciężka, a jej brak życia wstrząsnął nią. Spojrzała nagle na twarze sekundantów i mężczyzn wokół niej. Wyglądali na przestraszonych, wszyscy z wyjątkiem jednego, który niskim głosem okropnie przeklinał. Spojrzała w górę i zobaczyła Silversteina stojącego obok niej. On również wydawał się przestraszony. Oparł życzliwą dłoń na jej ramieniu, zaciskając palce ze współczuciem.

To współczucie ją przeraziło. Zaczęła odczuwać oszołomienie. Zrobił się gwar, bo ktoś wszedł do pokoju. Osoba ta wystąpiła naprzód, ogłaszając z irytacją: – Wynocha! Wynoście się! Trzeba opróżnić salę!

Kilku mężczyzn w milczeniu posłuchało.

– Kim jesteś? – gwałtownie zażądał wyjaśnień od Genevieve. – Jego dziewczyną, jak żyję!

– W porządku, to jego dziewczyna – odezwał się młody człowiek, w którym rozpoznała swojego wcześniejszego przewodnika.

– A ty? – Drugi mężczyzna rzucił w stronę Silversteina.

– Jestem z nią – odpowiedział agresywnie.

– Ona pracuje dla niego – wyjaśnił młody człowiek. – Oni są w porządku, mówię ci.

Przybysz chrząknął i uklęknął. Przejechał dłonią po wilgotnej głowie, chrząknął jeszcze raz i podniósł się na nogi.

– To nie jest sprawa dla mnie, powiedział. – Proszę posłać po karetkę.

Wtedy wszystko stało się dla Genevieve snem. Może zemdląca, sama nie wiedziała, ale z jakiego innego powodu Silverstein miałby obejmować ją ramieniem, podtrzymując ją? Wszystkie twarze wydawały się zamazane i nierzeczywiste. Do jej uszu docierały fragmenty dyskusji. Młody człowiek, który był jej przewodnikiem, mówił coś o reporterach. Usłyszała, jak Silverstein mówi do niej z oddali: Musisz podać nazwisko do akt, i wiedziała, że kręci głową odmownie.

Jak eksplozja pojawiła się cała fala nowych twarzy i zobaczyła Joego wynoszonego na płóciennych noszach. Silverstein zapinał guziki długiego płaszcza i poprawiał kołnierz wokół jej twarzy. Na policzku poczuła nocne powietrze, a patrząc w górę zobaczyła czyste, zimowe gwieździste niebo. Wcisnęła się w fotel. Silverstein siedział obok niej. Joe też tam był, wciąż na noszach, z kocami przykrywającymi jego nagie ciało; i był tam człowiek w niebieskim mundurze, który przemówił do niej uprzejmie, choć nie wiedziała, co powiedział. Stukały końskie kopyta, a ona snuła się gdzieś przez noc.

Potem zobaczyła światło i głosy, i poczuła zapach jodoformu. To musi być szpital, pomyślała, ten stół operacyjny, ci lekarze. Badali Joego. Jeden z nich, ciemnooki, ciemnobrody, obco wyglądający mężczyzna, podniósł się z pochylenia nad stołem.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – mówił do innego mężczyzny. – Cały tył czaszki.

Jej usta były gorące i suche, a w gardle paliło ją nie do zniesienia. Ale dlaczego nie płakała? Powinna była płakać, czuła, że jest to jej obowiązek. Naprzeciwko niej, na wąskim łóżeczku,

stała Lottie (nastąpiła kolejna zmiana w tym śnie) i płakała. Ktoś mówił coś o śmiertelnej śpiączce. Nie był to ten obco wyglądający lekarz, ale ktoś inny. Nieważne, kto to był. Która godzina? Jakby w odpowiedzi zobaczyła w oknach nikłe, białe światło świtu.

– Zamierzałam wyjść dzisiaj za mąż – powiedziała do Lottie.

A zza łóżka jego siostra zawodziła: – Nie, och nie! – I zakrywając twarz, szlochała na nowo.

To był więc koniec tego wszystkiego – dywanów, mebli i małego wynajętego domku; spotkań i wyjść, porywających nocy w blasku gwiazd, rozkoszy oddania się, kochania i bycia kochaną. Była oszołomiona straszliwą prawdą o tej Grze, której nie rozumiała – jej fascynacją w męskich duszach, jej ironią i niewiernością, jej ryzykiem i niebezpieczeństwami oraz zaciekłymi wybuchami krwi, czyniącymi kobietę żalowaną, nie będącą już wszystkim dla mężczyzny, ale jedynie jego zabawką i rozrywką. Kobiecie mężczyzna oddawał swoją opiekę i troskę, swoje nastroje i chwile, ale Grze – jego dni i noce, hołd pracy jego umysłu i rąk, jego najwytrwalszy trud i najdzikszy wysiłek, całe napięcie i stres jego bytu oddawał dla Gry – będącej pragnieniem jego serca.

Silverstein pomagał jej stanąć na nogi. Posłusznie podniosła się na oślepe, oszołomiona snem, który wciąż był w niej żywy. Jego dłoń chwyciła ją za ramię i skierowała w stronę drzwi.

– Och, dlaczego go nie pocałujesz? – Lottie zawołała, a jej ciemne smutne oczy patrzyły na nią żarliwie.

Genevieve pochyliła się posłusznie nad cichą gliną i przycisnęła usta do ciepłych jeszcze warg. Drzwi się otworzyły i przeszła do innego pokoju. Stała tam pani Silverstein, z oczami pełnymi złości, które na widok ubrań jej chłopca błysnęły mściwie.

Silverstein spojrzał błagalnie na swoją małżonkę, ale ona wybuchła z dzikością:

– Nie mówiłam ci, co? Co ci mówiłam? Będziesz miał teraz plamę na swojej reputacji! Teraz twoje nazwisko znajdzie się we wszystkich gazetach! Na walce o pieniądze, jak młodzieniaszek ! Ty głupku, ty błaznie, ty...

Ale łzy napłynęły jej do oczu i słów, a ona z wyciągniętymi grubymi ramionami, nieporadna, niedorzeczna, uświęcona macierzyństwem, podeszła do cichej dziewczynki i przycisnęła ją do piersi. Szlochała wydając z siebie nieartykułowane słowa miłości, kołysząc się powoli w przód i w tył, i poklepując Genevieve swoją ciężką ręką.

© Polskie Wydawnictwa Niezależne i Wydawnictwo Horyzont Idei, www.hoid.pl,
Toruń 2023

Kontakt e-mail: kontakt@hoid.pl

Media społecznościowe: [Facebook.com/HORYZONTIDEI](https://www.facebook.com/HORYZONTIDEI)

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ V.

2